Rok I. Marzec 1933. Numer 5.

NAD POZIOMY

Miesięcznik młodzieży Państw. Gimnazjum w Chrzanowie

Cena 35 gr. WYCHODZI 2 KAŻDEGO MIESIĄCA. Cena 35 gr.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Prof. Dr. Zdzisław Krawczyński

Dyrektor Zarządu i Redaktor naczelny: Abit. Tadeusz Słowik

Adres: „NAD POZIOMY” Państ. Gimnazjum Chrzanów.

1920 W TRZYNASTĄ ROCZNICĘ 1933

ODZYSKANIA MORZA!

„Trzymajmy się morza” — oto hasło sławnego męża stanu i trzeźwego polityka a zarazem wielkiego patrjoty St. Staszica, które zostało potomności przekazane w wiekopomnym dziele: „Przestrogi dla Polski”. Hasło to jest polską racją stanu doby obecnej w chwili, gdy wytężona akcja niemieckiej polityki i prasy zmierzająca do rewizji traktatów, a co zatem idzie i do oderwania od nas Pomorza, stała się już oficjalnym punktem rządu Rzeszy. W czasach, kiedy wroga agitacja prasowa zatacza córaz szersze kręgi, nie wolno nam poprzestać tylko na stwierdzeniu, że „nie damy ziemi skąd nasz ród”. Musimy uświadomić sobie, że to, o co kuszą się Niemcy, t. j. Pomorze i wolny dostęp do morza, nie jest nam dany tylko z łaski Europy, ale jest odebraniem tego, co było nasze i co zostało zagrabione w chwili słabości Narodu Polskiego. Stwierdzają to fakta historyczne, stwierdza każdy bezstronny obserwator cudzoziemski, stwierdzają wielcy mężowie stanu i politycy Europy, stwierdzają uczeni nie zaangażowani w wirze walk politycznych, stwierdza wreszcie całe społeczeństwo polskie bez względu na przekonania partyjne i wyznaniowe. Wszak przecież niedawno w Sejmie polskim cała reprezentacja Narodu stanęła w obronie zagrożonej dzielnicy i zapowiedziała zwarte przeciwdziałanie wszelkim zakusom powtórnego zaboru.

Dnia 10. lutego minęło 13 lat od chwili, kiedy to na pustym, piaszczystym wybrzeżu morskim po kilkuwiekowej przerwie odbił się o sine fale Bałtyku okrzyk: „Morze Polskie”, który przez fale przeleciał oceany i lądy i ogłosił światu zwycięstwo sprawiedliwości dziejowej. 13 lat mija, jak Biały Orzeł polski objął straż wieczystą nad małym skrawkiem polskiego morza, przyznanego nam na mocy traktatu wersalskiego. Okrzyk ten przeleciał głośnym echem przez całą Rzeczpospolitą i obudził szary cień przeszłości historycznej. Oddawna bowiem, od czasów, których początek ginie gdzieś w mrokach legendy, u stóp niemych pomników, u odwiecznych grobowców podziemnych, gromadziły się u wybrzeży Bałtyku wielkie, potężne, dziejowe zagadnienia Polski. Polska w swej przeszłości niejednokrotnie opierała się o morze, ku Bałtykowi wracała polska myśl polityczna zawsze, ilekroć próbowano kłaść trwałe i mocne podwaliny pod przyszłość państwa i narodu.

Uczeni niemieccy starają się udowodnić, że Pomorze jest odwieczną ziemią niemiecką, o czem świadczą jakoby wykopaliska grobów przedhistorycznych. Nie będziemy rozważać czasów legendarnych, co sprawdzić jest teraz zbyt trudno. Natomiast sami historycy niemieccy przyznają, że plemiona słowiańskie już w VI. w. po Chr. zasiedlały kraj między Wisłą a Łabą. Pozostałe dotychczas nazwy wielu wiosek i miejscowości o brzmieniu słowiańskiem świadczą o tem, że naród słowiański był na tych ziemiach ludnością odwieczną. Z powstaniem Polski jako państwa, nietylko Pomorze w granicach powyżej określonych, ale całe terytorjum od rzeki Odry do Wisły weszło w skład Polski od r. 994, co niezbicie świadczy, że w tym czasie większość ludności na terytorjum Pomorza była polska.

Pomorze było od początku stałym terenem ekspansji budującego się państwa piastowskiego. Mieszko I., Bolesław Chrobry, Mieszko II., Kazimierz Odnowiciel, Bolesław II. i Krzywousty, każdy z książąt polskich kilku pokoleń pracuje nad zyskaniem lub umocnieniem panowania nad ziemiami pomorskiemi. W chwilach silniejszej ekspansji wpływ Polski obejmował ujścia Odry i Wisły, w okresach słabszego rozwoju starał się utrzymać przynajmniej ujście Wisły... Uzależnienie Pomorza od Polski należało do stałego programu politycznego pierwszej dynastji polskiej... W r. 1226 Konrad wzywa do Polski zakon Krzyżaków dla walki z Prusakami na wschodzie i dla obrony przed Niemcami na zachodzie. Krzyżacy, — „latrones cruce signati" — jak powiada o nich Długosz — wzmocnieni przybyszami z zachodu, rozszerzali stopniowo swoje terytorjum i zdradzając Polskę, zdobywają podstępem Gdańsk w r. 1308. Następnie zajmują stopniowo przylegające do Wisły Pomorze i gnębią żywioł polski. W czasie panowania Krzyżaków na Pomorzu trwają nieprzerwane spory i walki z Polską. Bitwa pod Grunwaldem w r. 1410 decydująco zachwiała panowaniem Krzyżaków na Pomorzu, a już w r. 1454 ludność Pomorza łącznie z Gdańskiem ostatecznie wypowiedziała posłuszeństwo Krzyżakom, oddając Pomorze i Gdańsk z powrotem pod władzę króla polskiego. Jednocześnie Prusy Książęce, pozostawione Krzyżakom, zostały połączone z Polską jako lenne państwo.

Pomorze od r. 1454 stanowiło nierozdzielną część Polski do r. 1772, kiedy to Prusy, Rosja i Austrja wspólnie dokonały pierwszego jej rozbioru. Niemcy, jak widać z tego, zagarnęły Pomorze przemocą, korzystając z sojuszu z państwami zaborczemi. Dopiero wojna światowa przywróciła Polsce Pomorze tylko częściowo, które jako część Polski, historycznie i etnograficznie polskie, otwarło jej drogę dla mocarstwowej i gospodarczej ekspansji. Przed 13 laty odzyskaliśmy ponownie dostęp do morza. Odzyskaliśmy skromne i tylko częściowe dziedzictwo dawnego naszego nad Bałtykiem władania. Kiedy bowiem w przeszłości naszej był czas, że Polska miała wybrzeże o 1000 km. długości to obecnie długość polskiego wybrzeża ma zaledwie 146km. z obwodem Helu ($2^1/_2$% ogólnych granic).

Kiedy wybrzeże to obejmowaliśmy we władanie, było ono zupełnie nieurządzone, nieprzygotowane do spełnienia roli, jaka przypadła mu w udziale. Na całem tem wybrzeżu nie było ani jednego portu, godnego tego miana, ani jednego statku, na którym powiewałaby polska bandera. Trzeba było tworzyć wszystko od początku, od podstaw. W tych warunkach rodziła się morska polityka współczesnej Polski. Gdańsk, jedyny port polski, z którego Polska miała prawo korzystać, podczas wojny polsko-bolszewickiej stał się siedliskiem wrogiej nam propagandy. Okazało się wtedy, że Gdańsk, który w myśl traktatu miał stanowić dla Polski nieskrępowaną łączność ze światem, bynajmniej takim łącznikiem nie jest. Odmowa wyładowania amunicji w Gdańsku w okresie najcięższych bojów, wykazała, że kraj nasz nie ma całkowitej gwarancji swej pełnej swobody komunikowania się przez morze z resztą świata. Wrogi stosunek Gdańska i odradzające się po wojnie życie ekonomiczne kraju wysunęło problem morski na pierwszy plan w polskiej racji stanu.

Czyniąc bilans dokonanej pracy i osiągniętych wyników w okresie 13-lecia uzyskania dostępu do morza, należy stwierdzić, że wypada on dodatnio i pozwala z ufnością patrzeć w przyszłość. Zbudowano nowoczesny port w Gdyni, cud techniki portowej, który zachwyca cudzoziemca. Nawet tak wrażliwe umysły jak Amerykanie podziwiają cud nadmorski Polski odrodzonej. Gdynia jest sprawdzianem potęgi twórczej Narodu polskiego, wskaźnikiem potężnego parcia ku morzu. Port ten zdystansował największe niemieckie porty Bałtyku — Królewiec i Szczecin. Eksportuje i importuje się zgórą 6 miljonów ton ładunku rocznie przez Gdynię. Posiadamy już wielką narazie flotę handlową pojemności 66.000 ton. Na rozbudowę Gdyni wydano ogołem 253 miljony zł.

Łącznie z budową portu postępuje wzmożona rozbudowa miasta, które liczy przeszło 50.000 mieszkańców, podczas gdy w chwili odzyskania morza była to zaledwie maleńka wioska kaszubska. Budujemy magistralę węglową Śląsk — Gdynia, budujemy porty rybackie (Hel, Jastarnia), tworzymy rybactwo dalekomorskie, utworzyliśmy przedsiębiorstwa okrętowe i stałe linje komunikacyjne morskie, posiadamy szkoły morskie, które kształcą fachowych marynarzy, roznoszących imię Polski na sinych wodach oceanów a biało-amarantowa flaga z Orłem Białym świadczy, że Polska ma prawo do morza, że w obliczu tego zagadnienia dokonał się cud — „tu niema rządu i rządzonych, niema wyznań, partyj, walki, przeciwieństw. Jest jedna Polska, frontem zwrócona ku morzu, ku własnym obowiązkom, własnej pracy, podjętej i dźwiganej z radością".

Dymitr Solikowski, arcybiskup lwowski, powiedział ongiś, że: „kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim". Fryderyk II. zaś mówił, że: „kto posiędzie ujście Wisły i Gdańsk, ten będzie większym panem Polski niż król, który w niej panuje".

A więc mamy własne „okno na świat", mamy mały skrawek wybrzeża. Z nieubłaganą konsek-

wencją dążyć musimy po linji realizacji naszych zamierzeń i planów, mających na celu potęgę Rzeczypospolitej i dobro jej obywateli. Świat należy do silnych i wytrwałych — bądźmy więc wytrwali i silni.

T. Słowik.

Nasz Pan Tercjan.

Głowa w górę, głos tubalny
Mars na czole, tęga mina,
Świta jego: Lekki, Skalny...
A kto on jest? Pan Wyzina!

Hałas. Nagle milkną krzyki
Truchleje każdy chłopczyna,
Wnet ustaje gra w guziki...
Któż cud zrobił?! Pan Wyzina!

Cisza. Nagle dzwonek dźwięczy.
Oto kończy się godzina!
Cała szkoła huczy, brzęczy..
Któż to zrobił? Pan Wyzina!

Gdy żołądek w pewnej porze
Swoje „marsze” grać zaczyna
Któż go bułką zapchać może?
Jeden tylko! Pan Wyzina!

On — (nikt temu nie zaprzeczy)
Jest oświaty też reflektor
I rozstrzyga wiele rzeczy
Mówiąc: „Ja i Pan Dyrektor...”

J. R. T.

MAHABHARATA

Poezje gnomiczne.

Mędrzec gorliwie zbiera jako żniwiarz kłosy,
Na wszystkich polach świata—wielkich myśli głosy.

Człek podły zwykł dostrzegać cudze winy liczne
Choćby tak były drobne jak ziarna gorczyczne.
Lecz swoich własnych grzechów w słowie albo czynie
Nie widzi, choćby wielkie były jako dynie.

„Ten jest podły” Czyż bywa kto śmiechu godniejszy,
Niż ten, który tak mówi, sam będąc podlejszy?

Kto nieustannie siedzi w ksiąg uczonych szkole,
Ale w rozumie własnym nic się mu nie mieści
Ten jest jak owa łyżka kąpana w rosole,
Co nie zna smaku zupy, woni jej i treści

To zrobiłem, to zrobię, to zaczęte skończę
Wtem wśród trosk nieczekany schodzisz śmierci gończe

Ten, co w dół zawsze patrzy-bywa pełny pychy,
Kto na niebo spogląda-ten się czuje lichy.

Do źródeł Popradu.

Z obozu harcerskiego leżącego nad Popradem (w Żegiestowie) wyruszyła wycieczka. Celem jej było dotrzeć do źródeł tej rzeki. Droga nasza miała prowadzić przez najpiękniejszy zakątek Polski to jest Pieniny. Jak zwykle na wycieczki wyruszyliśmy wczas rano. Pożegnaliśmy Poprad mówiąc mu do zobaczenia u źródeł.

Żegiestów leży w dolinie i jest otoczony zewsząd górami, przeto jest widok przysłonięty. Ale już po paru godzinach gdyśmy wznieśli się wyżej roztoczył się za nami piękny widok na pobliskie góry i wsi, które w dali wyglądały jak maleńkie zabawki dla dzieci.

Jednak „komu w drogę temu czas” mówi przysłowie więc i my musiliśmy iść dalej lecz tego nie pożałowaliśmy.

Bo oto nagle z przełęczy Obidza uderzył nas cudowny widok Tatr. Niedowierzaliśmy z początku że to są góry, coś tak olbrzymiego potężnego sięgającego wierzchołkami swymi aż do nieba miał raczej wygląd wielkich chmur, które nagle owisły ku ziemi a nie skał. Było w tym widoku coś tak pięknego tak majestatycznego że raz odczuwaliśmy dziwną radość to znowu ogarniał nas poważny nastrój. I tutaj odczuć można było małość i słabość człowieka wobec potęgi natury. Pod tym wrażeniem byliśmy czas jakiś lecz pomału przyzwyczailiśmy się do tego cudownego obrazu i tylko z zachwytem spoglądaliśmy na ogromne trzony skał. Po krótkim jednak wypoczynku ruszyliśmy dalej. Schodząc ku przełomowi Dunajca widzieliśmy z dala mniejsze wyniosłości pokryte lasami czarnemi tylko tu i ówdzie bieliły się nagie skały wapienne.

Wyglądały wcale nie pokaźnie i nic nadzwyczajnego nie zapowiadały. Ot zwyczajne „skały” jakich na drodze do Ojcowa można widzieć wiele. Lecz tu spotkała nas niespodzianka, bardzośmy się pomylili a zarazem przekonali, że z wyglądu nie można oceniać nic i nikogo.

Tymczasem niczego się nie spodziewając szliśmy dalej. W Szczawnicy na samym wstępie ujrzeliśmy pełno żydów, którzy patrzyli na nas z otwartymi szeroko oczami, bo każdy z nas był opalony, prawie czarny. Lecz szczególną uwagę i zachwyt wzbudzał wśród nich barwą swej skóry „Polocek”, który jednak przywykły do zachwytów jeszcze z obozu (och jaki pan czarny) spoglądał z pogardą na biało-żółtych i różowo-czerwonych izraelitów. Niespodzianką dla nas było gdy z pewnego okna wychyliła się jakaś dziewczyna izraelska i zawołała „Oj Chrzianyw idzie” i cieszyła się że zobaczyła znajomych „z rodzinnego miasta”. Szczawnicę obejrzeliśmy, porobiliśmy zdjęcia, piliśmy wodę mineralną. A potem poszliśmy do Krościenka. Po drodze idąc brzegiem Dunajca wykąpaliśmy się w nim. Tak wybornej kąpieli nigdy przedtem nie znaliśmy. Można płynąć daleko nie męcząc się, lecz trzeba uważać na kamienie, o które poobijać się można. W Krościenku bawiliśmy krótko, załatwiliśmy nieliczne sprawunki i dalej w drogę na „Trzy Korony”. Orzeł Skalny prowadził nas jakgdyby naumyślnie takimi drogami, z których mało co widać było Dunajca i jego przełomu. Po drodze wstąpiliśmy do pustelni Św. Kingi.

I prawie pod sam wieczór byliśmy na szczycie „Trzech Koron”. Widok był bardzo ładny. W oddali prawie że w mroku Tatry, w dole Dunajec wpływał jakoby w paszczę Pienin, poprostu niknął na zakręcie jakgdyby się zapadał, tylko szum przyciszony dolatywał do nas. Prawdę powiedziawszy każdy z nas był ogromnie zmęczony. Jednak nie przeszkadzało nam to w podziwianiu Pienin w zachodzącym słońcu. Widok był prześliczny, białe wapienne skały różowiły się w ostatnich promieniach słońca a dołem szedł już mrok i darł się coraz wyżej pochłaniając w sobie wszystko. I zapadła uroczysta cisza, którą od czasu do czasu przerywał tylko krzyk górali wracających z pastwisk do domu. Noc spędziliśmy w schronisku u stóp „Trzech Koron”.

Nazajutrz wstał dzień leniwy, zanosiło się na deszcz. To jednak nam nie psuło homoru, wypoczęci czekaliśmy nowych wrażeń i nowych trudów, które nam sprawiały przyjemność. Dzisiaj mieliśmy płynąć łodziami poprzez przełom Dunajca. To nas bardzo cieszyło i pociągało. Weseli weszliśmy do łódek, zaraz porwał nas prąd, który miał nas wkrótce wprowadzić w nową jakoby z bajki krainę.

c. d. n.

P. Va.

KRONIKA.

Dnia 1. lutego obchodziliśmy uroczyście dzień Imienin P. Prezydenta Rzplitej Ignacego Mościckiego.

O godz. 8 rano odbyło się w kościele uroczyste nabożeństwo, na którem chór gimnazjalny odśpiewał kilka pieśni kościelnych. Następnie poranek w auli gimnazjalnej z udziałem całej młodzieży i pp. Profesorów, urządzony staraniem komisji obchodowej samorządu szkolnego. Przemówienie wstępne wygłosił p. prof. L. Gliksman, charakteryzując postać Dostojnego Solenizanta, jako piastuna Majestatu Rzplitej, który nie brał udziału w partyjnictwie i jego walkach, a pracował dla Polski w sferze duchowej i był bojownikiem o niepodległość gospodarczą Polski jako naczelny Dyrektor Chorzowa. Szczery demokratyzm zbliżył Go do walczących o niepodległość.

Następnie chór odśpiewał wiązankę pieśni.

Kol. Staich VIIa. wygłosił odczyt o Panu Prezydencie i podał życiorys Włodarza Ojczyzny, po ukończeniu wniósł okrzyk: „Niech żyje” na cześć p. Prezydenta, po którym orkiestra odegrała hymn państwowy.

Kol. Paluch Tad. IIIa. wygłosił wiersz okolicznościowy.

Dnia 10. lutego, jako w 13-tą rocznicę odzyskania przez Polskę dostępu do morza, młodzież gimnazjalna wzięła udział w uroczystem nabożeństwie, zorganizowanem przez Ligę Morską i Kolonjalną. Wieczorem tegoż dnia na Rynku chrzanowskim odbyła się manifestacja młodzieży i społeczeństwa w obronie morza polskiego przeciw zakusom rewizjonistycznym niemieckiego szowinizmu.

Dnia 15. lutego młodzież gimnazjalna wzięła udział w uroczystem nabożeństwie żałobnem za poległych bohaterów walk o niepodległość Ojczyzny z okazji 15-lecia bohaterskiej bitwy pod Rarańczą.

Sprawozdanie z działalności „Rady Gmin”.

Skład Zarządu „Rady Gmin” w roku szkolnym 1932 33 przedstawia się następująco: Marszałek — kol. J. Kozłowski VIIIb, wicemarszałek — kol. L. Bigay VIIIa, pisarz wielki — St. Kosowski VIIIa, skarbnik — Wł. Żak VIIa. Kuratorem „Rady Gmin” jest długoletni i zasłużony dla samorządu Opiekun p. prof. J. Gruszeczka.

„Rada Gmin” w bieżącym roku szkolnym odbyła 5 posiedzeń, na których omawiano aktualne zagadnienia szkolne i dyskutowano programy uroczystości okolicznościowych. Frekwencja była liczna, dochodziła do 90%.

Pierwsze zebranie odbyło się dnia 6 X. 1932 r. celem omówienia pisemka szkolnego. Kol. Staich odczytał projekt, który przyjęto. Ustalono rozmiary, program pisemka i stronę techniczną.

Dnia 8/X. 1932 odbyło się drugie z rzędu zebranie, na którym wybrano Zarząd pisemka w pełnym składzie.

Na posiedzeniu dn. 10/XI. 1932 wybrano Komisję Kontrolną, która ma za zadanie zbadanie stanu klas i kontrolę zarządów klasowych. W skład tejże komisji wchodzą: kol. T. Słowik, kol. Smoliński Fr. VIIIb, i kol. J. Muszyński VIIb. Komisja ta przeprowadziła kontrolę klas dnia 16/X. 1932. Zauważone braki poleciła Komisja uzupełnić a nieporządki usunąć. Dnia 20. stycznia T. Słowik przeprowadził ponowną kontrolę, w czasie której skonstatował braki odpowiednich druków w większości klas. Dnia 27/I 1933 przeprowadzono kontrolę odbytych sejmików klasowych. Kilka klas nie zastosowało się do polecenia „Rady Gmin" i sejmików nie urządziło. Było to klasy: II, IIIb, IVb, VIIb, VIIIb.

Na posiedzeniu tem wybraną także została Komisja Obchodowa. W skład jej weszli: T. Słowik VIIIa, Z. Lorenc VIIIa, Siostrzonek VI.

Komisja ta urządziła poranek ku czci p. Prezydenta Rzeczypospolitej Ign. Mościckiego z okazji Imienin. Przygotowywuje akademję na 19. marca ku czci p. Marszałka J. Piłsudskiego i uroczyste pożegnanie b. długoletniego Dyrektora Gimnazjum p. J. Pęckowskiego.

Na każdem posiedzeniu „Rady Gmin" był obecny p. Kurator Prof. Gruszeczka, który udzielał odpowiednich informacyj i instrukcyj.

Ku czci b. długoletniego
Dyr. Gimn.
Jana Pęckowskiego

Dnia 28. lutego Komitet złożony z pp. Profesorów i przedstawicieli uczniów urządził b. Dyrektorowi Gimnazjum chrzanowskiego p. J. Pęckowskiemu uroczyste pożegnanie oficjalne w budynku szkolnym.

Poniżej zamieszczamy przemówienie przedstawiciela młodzieży T. Słowika wygłoszone z tej okazji w imieniu młodzieży.

Dokładne sprawozdanie z uroczystości w numerze następnym.

Dopóki się ziemia obraca, niech nie ustaje zasiew i zbiór. Sama przyroda nam to oznajmia; zaledwie dni żniwa minęły, zaledwie złote drzew i pól zebrano owoce, zaledwie ucichły wesołe głosy żniwiarzy, już znowu widzimy jak na nowo pola uprawiają, aby swego czasu nowe zrodziły owoce. To ciągłe następstwo pór roku, ten wzorowy porządek w przyrodzie nie jest bez znaczenia i bez związku z dniem dzisiejszym. Pole żniwa, na które dzisiaj nasze zwracamy oczy, jest polem bogatem w snopy i ma piękne, słoneczne położenie. Jest to pole męża, który umiał orać i zasiewać ziarno wiedzy i wychowania, oblewać i strzec miłośnie, który słabym roślinkom podpory dawał, na których się wijąc, w górę wspinać się i rość mogły. Tym mężem jesteś Ty, Czcigodny Panie Dyrektorze, który przez dwadzieścia kilka lat pracowałeś wytrwale na niwie wychowawczej, rzeźbiłeś młode i nieobrobione jeszcze serca i umysły młodych, rzucałeś ziarno wiedzy, ideału i obowiązków obywatelskich w młodzieńcze umysły, zbierałeś wreszcie corocznie plony dojrzałej młodzieży, którą wysyłałeś następnie w szeregi karnych obywateli Ojczyzny i powiększałeś zastępy światłych członków społeczeństwa. Owocem tej pracy wychowawczej to zastępy kapłanów, lekarzy, profesorów, prawników, którzy, opuściwszy mury tego Zakładu pod Twoim kierunkiem będącego, są dowodem Twej ofiarnej pracy i troski o istnienie tak ważnej placówki oświatowej na terenie Zagłębia chrzanowskiego, jaką jest Gimnazjum tutejsze.

Cenimy Twoją pracę zarówno jak pracę innych Panów Profesorów. Jest bowiem naszym obowiązkiem szanować i umieć być wdzięcznym za szlachetną troskę o nasz byt. Cóż może być wznioślejszego nad pracę wychowawczą i nauczycielską? Jest to stanowisko wielce odpowiedzialne wobec Boga, Ojczyzny i społeczeństwa, pełne trudu i poświęcenia, stanowisko, którego dewizą jest testament Słowackiego: „Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec".

Trzydzieści blisko razy łany Twoje ze zbiorów zostały ogołocone, a wszystko, coś przebył i doświadczył, wszystkie radości i smutki, cierpienia i rozkosze, smutne i wesołe chwile minęły. Cóż Cię dzisiaj pocieszyć może? Miłość i wdzięczność Twoich wychowanków i przyrzeczenie, że wielce sobie cenić będziemy Twoją i wszystkich Panów profesorów pracę i zastąpienie nam atmosfery rodzinnej, silnej ręki ojca i troskliwej opieki matki.

Cieszę się, że zabierając głos w tym pięknym momencie rodzinnego pożegnania, mam możność wypowiadać zbiorową opinję Kolegów i przez to daję wyraz głębokiemu przekonaniu, że rady i wskazówki, których nam udzielałeś, nie pozostaną tylko czczemi frazesami obojętnie przez nas przyjętemi, ale zostaną w przyszłości w czyn wprowadzone przez wierne służenie Bogu i Ojczyźnie. Zapewniamy Cię, Czcigodny Panie Dyrektorze, że ziarna wiedzy i ideału rzucane na glebę serc naszych nie zmarnieją, że zostały rzucone na grunt podatny, a

liczbę talentów w trójnasób powiększymy i zdamy sprawę wobec Ojczyzny z pracy naszej.

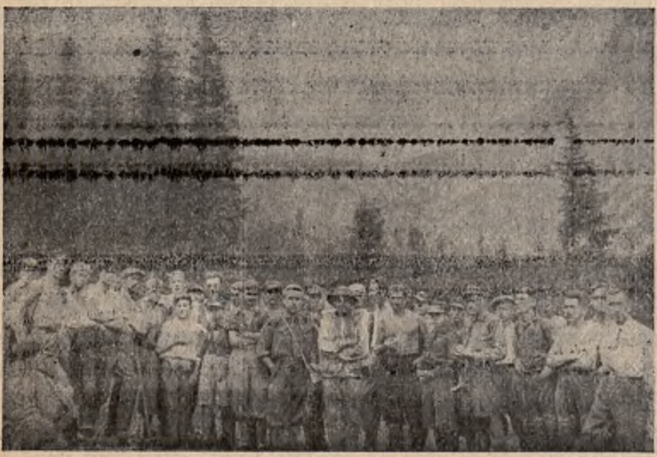
Pozwolę sobie dać wyraz naszej istotnej i głębokiej wdzięczności, a jednocześnie pragnę podkreślić Twój stosunek Panie Dyrektorze — do nas. Wprawdzie mało stykałeś się z nami w życiu codziennem z powodu obfitej pracy, ale gdy chodziło o istotne i rzeczywiste dobro młodzieży, Ty byłeś wobec powołanych czynników godnym jej obrońcą.

Koledzy, niechaj dzisiejsza uroczystość będzie dniem nawiązania ściślejszej łączności między nami a naszymi wychowawcami, a na wzajemnem zaufaniu i współpracy utworzymy silny gmach naszej przyszłości.

Kącik harcerski.

Na najwyższym szczycie Tatr.

Urywki kroniki z wycieczek tatrzańskich dwóch drużyn harcerskich „Dzieci Burzy" i „Dzieci Gór" — odbytych pod przewodnictwem naszego opiekuna, druha hufcowego Prof. Dr. Krawczyńskiego.



Na polanie pod progiem doliny Kaczej.

Po kilkudniowych już wędrówkach szczytowych, postanowiliśmy zawadzić o Garłuch, aby z wyniosłej i dumnej głowy króla Tatr spojrzeć na nieprzejrzane morza wierchów i niknące w niedościgłej okiem dali niziny. Dla młodszych miała ta wyprawa urok nowości, dla weteranów urok odnowienia przepięknych wrażeń i uzupełnienia ich nowemi.

Ruszamy dalej! — z temi słowy Orzeł Skalny wstaje i zaczyna wchodzić na ściany Gierlachu, pod któremi wypadł nam ostatni odpoczynek i posiłek. Wstępując w „ciepłe" ślady opiekuna i wodza, rusza za nim żwawa i radosna gromada chłopców. Niebawem utworzył się z nich istny wąż długi i wykręcający swe cielsko po załomach. Wąż ten pełznie rytmicznie i wytrwale, aby tam hen w górze użyć w pełni kąpieli w powietrzu i słońcu!



Na ścianie.

Po dłuższej spinaczce przebijamy się przez dość grubą warstwę obłoków zalegających stoki i chwyta nas w prażące uściski potężne słońce, lecz ten żar jego nie daje się zbytnio we znaki, gdyż równocześnie obwiewa nas rzeźwy wiaterek, wiejący od pól śniegowych.

Od czasu do czasu spoglądamy w dół na przebytą drogę, a wtedy szczeliny i półki, o które niedawno zaczepiała się ręka lub wspierała noga, wydają się dziwnie nikłe, prawie niewidoczne — ściany skalne zaś robią się prostopadłe. Coraz wyżej pnie się gromada w sfery nieczęsto przez ludzi odwiedzane, pnie się i przylepia do piersi skał, na których już tylko rzadko mech zarasta lub kwiatem o jasnych barwach błyśnie roślina — wygnanka, najczęściej złota gwiazda kozłowca. Błyskają także same nawet płyty skalne, silnie zwietrzałe i rozsypujące się w blaszki gnejsów, hojnie obsypane miką. Od czasu do czasu, jakby dla zmiany, ze ścian wychodzimy na grań i przewijamy się nią, obchodząc bokami ostre zęby lub pokonując je w prostej linji. Z odcieniem wyniosłej powagi ale i z niekłamanym zachwytem spoglądają wtedy chłopcy na ziejące u ich stóp i pogłębiające się coraz bardziej przepaście....

Tak lawirując, w ciągu kilku godzin zbliżamy się do szczytu, a choć znużenie ogarnia już mięśnie i kości, energja wzrasta przy końcu i popycha do rozkosznego w tem cudownem powietrzu wysiłku — aby się jaknajprędzej na kulminację Tatr — dach Karpat wydostać....



Na szczytowej grani Garłucha.

Nareszcie jesteśmy na szczycie... Gromadka skupia się koło siebie, ledwo mogąc się pomieścić i siada na granitowych złomach. Pogoda wymarzona! Nad nami, wokoło nas i pod nami cuda... Oto dziwnie czysta i lazurowa kopuła niebios przepojona, przesycona słońcem nad naszemi głowami i wszędzie naokoło, oto bliżej w kole widnokręgu całe Tatry kładą się u naszych stóp, oddając cześć swemu władcy, oto przecudnie wyrzeźbione, poorane urwiska rozchodzą się we wszystkie strony poplątanemi piłami, potrzaskanemi basztami i wieżami, labiryntami głęboko wciętych kotlin i dolin — oto ściany turni i krzesanic pocięte szczelinami żlebów świecą się w słońcu i jak lustra odbijają jego blaski przesyłając je ku rozesłanym u ich podnóża upłazom... Wydaje się czasem, że mamy przed sobą jakąś ulepioną sztucznie mapę plastyczną, a górskie szczyty wyglądają jak figury ustawione na szachownicy, otaczające swego króla i niedaleką stąd królowę, zaczarowane, skamieniałe postacie, grające jakąś niemą lecz wymowną pieśń potęgi... Czasami pieśń ta aż nadto jest głośna, wtedy, kiedy ją grają podczas burzy gromy lub wyją wichry...



Widok na Tatry ze szczytu Garłucha.

Po pierwszych silnych wrażeniach zaczynamy zwracać uwagę na szczegóły terenu i odpoznawanie szczytów. Orjentowanie się ułatwiają wybitniejsze a dobrze znane grupy. Wśród całego morza szczytów wybijają się odrazu i rzucają w oczy: od wschodu partja Lodowego i Łomnicy, od zachodu na najbliższym planie wyrastają jeden z za drugiego i plączą się ze sobą krętemi, ostremi graniami Kończysta, Batyżowiecki, Ganek z Żłobistym i Rumanowym, Wysoka i Rysy, wieniec turni i wierchów otaczających Morskie Oko, stąd oczywiście niewidoczne, długie grzbiety Baszt, Furkota, Hrubego — z nadętą „pękatą” głową Krywania na dalszej krawędzi. Bardziej na południe błyszczy poniżej rozlana w blaskach słońca zielona tafla Szczyrbskiego na wklęsłym tarasie. Jeszcze dalej i niżej naokoło skalistej twierdzy Tatr kotliny Popradu, Wagu, Orawy i Dunajca, zamknięte pasmami Niżnych Tatr, Babiej Góry i Pilska, Gorców i Pienin. Wśród nich wiją się liczne strumienie wodne, samych rzek i dopływów — potoków i niemniej liczne a zdala też do rzek podobne pasy dróg. Wśród nich widać pełno wsi, miast i letnisk...

Oczy nasze, ku północnej stronie lecą już z uczuciem pewnej tęsknoty, jakkolwiek dopiero kilka dni temu opuściliśmy Polskę...

B. K. i M. S

Orzeł Skalny.

Od życia zarania ukochał on Tatry
Orlęciem gdy wzlatał nad turnie,
Moc skrzydeł mu dały grom i halne wiatry,
Z którymi w śmiertelny szedł turniej.

A kiedy nad białe się wznosił obłoki
Zachwytem trzymany na niebie,
To słuchał jak górskie gdzieś huczą potoki,
Jak morze się smreków kolebie.

Jak piorun się zrywał i latał nad skały,
Zagadka w nim była zaklęta,
A za nim widziałem nieraz jak leciały
„Gór dzieci” maleńkie orlęta.

W pogoni za szczęściem oto Orle Skalny
Ku niebu rój piskląt wylata,
Dziś już nie powstrzyma dzieci gór wiatr halny,
Polecą za Tobą w kraj świata!

W. M.

Oświęcim - Tczew.
Z biegiem Wisły na kajaku.
(ciąg dalszy).

Chcąc być prędko u celu odpływamy przed świtem, zanurzając się w gęstej mgle unoszącej się nad wodą i wytężonym wzrokiem szukamy znaczących szlak wodny boji. Łagodny wiatr odsunął zwolna otoczającą nas zasłonę, ukazając coraz szerzej rozlewającą się Wisłę z licznemi mierzejami. Północny jego kierunek zmuszał nas do ustawicznego manewrowania żaglem (krzyżowanie) przez co wolno posuwaliśmy się naprzód. Około 11-tej zmuszeni jesteśmy jazdę przerwać z powodu nieznośnego upału.

Po południu odjeżdżamy dalej i aż do późnego wieczoru energicznie wiosłujemy robiąc w tym dniu 53 km. Równo ze zmrokiem nadciągła z zachodu ogromna, głucho pomrukująca czerniawa. Wciągamy łodzie na brzeg, odwracamy do góry dnem, w międzyczasie zaczyna padać, nakrywamy żaglami i szybko gdzie kto może chronimy się pod nie. Ulewa trwała krótko, co jednak wystarczyło na całkowite zmoczenie nas. Ze snu wyrwał mnie przeraźliwy okrzyk „topimy się”! I zaszedł tutaj dziwny wypadek. Oto K... zapewnie pod wpływem snu wyskoczył z pod łódki i biegając wokoło nas krzyczał „topimy się”! Podnoszę głowę i widzę, że rzeczywiście oblewa nas woda, jednak piasek koło mnie jest suchy. Uspokajam więc kolegów że to całe „topienie się” jest fikcją i że zostaliśmy w półśnie krzykiem K... zasugestjonowani. O prawdziwości mych słów świadczy fakt, że w pierwszej chwili, jeden z kolegów „pływał” po piasku i krzyczał, żebyśmy chwytali odpływającą łódkę. Wesołą tę przygodę żywo omawialiśmy nazajutrz

Po skromnym śniadaniu siadamy do kajaków, a silny wiatr pozwolił nam przy minimalnym wiosłowaniu na szybkość 10 km. na godzinę, co w zwykłych warunkach jest nieosiągalne. Upał wzmagał się coraz większy lecz nie przerywamy jazdy aż w Tarnobrzegu, gdzie chronimy się wraz z łódkami w cieniu zakotwiczonego statku „Katowice”. We trójkę udajemy się do miasta. Skupia się ono dookoła dużego rynku, zawalonego wszelakiego rodzaju kramami handlarzy. Przeważa tutaj ludność żydowska. Piękny kościół parafjalny, gimnazjum, magistrat oraz pomnik Bartosza Głowackiego to jaśniejsze punkty na tle brudnych, obdartych parterowych przeważnie domów. Zaopatrywujemy się w żywność stosunkowo tanią i wracamy z powrotem. Pchani wiatrem szybko zbliżamy się do widniejących zdala zarysów Sandomierza.

Stary ten gród piastowski wspaniale się przedstawia od strony Wisły. Na niewielkiem wzniesieniu, masa różnorodnych budynków, z pośród których strzelają ku niebu wierzyce kilku kościołów. Stary ratusz, brama Opatowska, zamek, piękny most żelazny dopełniają widoku. Jest to drugie wielkie miasto po Krakowie od źródeł Wisły. Po 2 godzinnem zwiedzaniu udajemy się w dalszą drogę, płynąc wśród rzeszy kąpiących się sandomierzan i wojska. Wisła zmienia za Sandomierzem swój północno-wschodni na całkiem północny kierunek. Przyjmuje tutaj najpotężniejszy dopływ karpacki San, który wybitnie zasila jej wodostan. Dogodny pierwej wiatr spycha nas teraz ustawicznie na prawy brzeg. Zmęczeni upałem i złośliwym wiatrem, zatrzymujemy się na noc na piaszczystej wyspie kilka kilometrów za znanym z historji Zawichostem.

C. d. n.

Franciszek Skupiński VIIIa.

Garść wspomnień szóstoklasisty z podróży do Włoch.

Niepojęta jakaś radość ogarniała mnie na myśl, że wkrótce poraz pierwszy zobaczę morze. Lekki dreszcz rozkoszy oczekiwanej przechodził mi po całem ciele. Przywodziłem na myśl wszystkie obrazy, opisy czytane, wszystkie morza oglądane przez szkła powiększające w fotoplastikonach wreszcie w żywych obrazach kinematografów — lecz czyż to wszystko choć w tysiącznej części mogło zrównać rzeczywistości? Nadleciały także marzenia dzieciństwa i fantastyczne książki, przygody żeglarzy i t. p. czytane wtedy! Otóż nareszcie sam będę żeglarzem, nie takim jak dawni, ale żeglarzem! Patrzałem z wagonu i wytężałem wzrok jaknajdalej, bo spodziewałem się lada chwila, gdzieś za nagłym skrętem, zobaczyć niezmierną równinę wodną. Ot z tych posępnych wapiennych grzbietów pewnie widać Adrjatyk. Kraj przez który pędzimy dziwnie jakoś ponurnie wygląda, ogromnie mało roślinności, prawie nigdzie nie widać zielonej barwy, tylko jakieś ostre stoki, kotliny, rumowiska wapienne, jakby potrzaskane szczątki murów, gruzy zwalonych budowli — a wszystko suche, jakby rozpalone i mocno w słońcu świecące. Mój towarzysz porównywał ten krajobraz do okolic Jerozolimy i Betleem. Taki dziwny wygląd mają okolice w górach Krasu. Niedługo kraj staje się weselszy. Zieloność ukazuje się naokół jakaś jasna, jakby wiosenna, pociąg zdaje się przyspieszać biegu, byle się prędzej wydostać z ponurej krainy i nagle... tuż u stóp wysokiego wału kolejowego jakoby upadł błękit nieba i rozciągnął się w nieskończoną dal... Morze! Patrzałem i nasycić się nie mogłem. Oczy jak błyskawice

pomknęły aż na sam kraniec, za niemi chyżo pobiegła myśl i, tkwiąc na owej granicy, gdzie bielejący błękit nieba zlewa się z ciemnym błękitem wody — wrócić stamtąd nie chciała. A pociąg leciał jak opętany....

Zkolei uderzyła mnie zmiana barwy wody, która koło brzegów przechodzi w zupełnie zieloną. Dopiero teraz ujrzałem w niewielkiej już odległości całą armię masztów u łódek, a dalej jeszcze potężne cielska okrętów w porcie, smugi dymów i sam Tryjest, położony amfiteatralnie na wzgórzu...

Początkowo mieliśmy jechać morzem tylko do Wenecji, a stąd już koleją dalej. W pociągu jednak jakiś uprzejmy jegomość, dowiedziawszy się o celu naszej podróży, poradził nam inną drogę i pomógł w Tryjeście kupić bilety okrętowe do Rawenny. Zmieniliśmy także przy sposobności część naszych pieniędzy na monetę włoską. Zostawiliśmy nasze rzeczy w sklepie, w którym robiliśmy zapasy na dalszą drogę i aż do wieczora szwędaliśmy się po mieście i porcie. Upał był wielki, więc gasiliśmy pragnienie owocami, które tu są dosyć tanie. Nakoniec poszliśmy do małej kawiarenki tuż nad morzem i popijając kawę, wpatrywaliśmy się w Adrjatyk i ruch w porcie. Zajmowało mnie tu wszystko: i smugi dymu ze statków, sunących hen daleko po pełnem morzu, i ładowanie towarów dźwigarami, ruchliwość majtków i robotników portowych, nakoniec beczki kołyszące się na falach. W powietrzu była woń rozgrzanej smoły i słony wyziew morski.

O godzinie szóstej wieczorem wypłynął z portu nasz mały statek włoski. Zaraz po nas miał odchodzić aż gdzieś na morze Śródziemne wielki parowiec, mnóstwo więc osób stało na brzegu, a widząc nasz statek odchodzący, żegnali nas chustkami. Wzruszenie mnie ogarnęło, bo to przecie nieznajomi a tak nas czule żegnają. Zacząłem także wywijać chustką, czyniąc zadość pięknemu zwyczajowi.

Płyniemy po falach Adrjatyku. Port Tryjestu ucieka w tył coraz więcej i więcej. Widać jeszcze całą czeredę ludzi, stojących na brzegu i powiewających chustkami. Można jeszcze odróżnić pojedyncze gmachy Tryjestu zalane purpurą zachodu i zlewające się coraz bardziej w jeden olbrzymi gmach - amfiteatr, gmach - miasto. Słońce zatapia się w mgłę siną, która z morza lazuru hen na krańcach widnokręga się wylęgła. „Rawenna“ płynie świetlistym szlakiem odbłysków konającego na falach słońca. Nasycony ropą wiatr morski leci z ziemi italskiej coraz śmielszy, ostrzejszy. Oddychamy pełną piersią. Na pokładzie gwar i ruch. Wśród pasażerów przeważa żywioł włoski, wszędzie przeto przejawia się żywy temperament. Ot obok nas usiedli sobie jacyś robotnicy i rozmawiając z żywą gestykulacją i częstemi wybuchami wesołego, prawdziwie szczerego śmiechu, przegryzają dęte obwarzanki, maczane chędogo w winie. Wesoły naród! Sądzisz patrząc na nich, że im nigdy nic nie dolega, że barki ich nie ugięły się jeszcze pod brzemieniem ciężkiej pracy, że życie traktują jak niebaczący na jutro młodzik. Co do ostatniego może się bardzo nie mylisz. Lecz to właśnie jest dla nich nie bez korzyści, że nie oddają się pewno refleksji i nie zastanawiają się zbytnio nad tem, „jak się dziwnie to biedne nasze życie plecie“. A poczciwi Słowianie lubią to widocznie. Ot niedaleko szukając, mogę uprzytomnić sobie cały ten kontrast. Nieopodal siedzą jadący do Italji za chlebem Słoweńcy z głęboką zadumą i mgłą smutku w łagodnych słowiańskich oczach. W twarzach ich widać troskę i niepewność o jutro. Przeciwstawmy ich włoskim robotnikom. Tu zamyślenie i jakby jakiś ból — tam ogień w oczach i wesele. A przecież i ci ludzie nie są losu wybrańcami. Przecież to jedni z tych, którzy oddają się niebezpiecznej i ciężkiej pracy przy budowie tuneli. Wszakże oni drążą olbrzymy górskie, a z każdego kąta straszliwych kurytarzy wygląda na nich śmierć. Tak myślałem, usypiając zwolna na pokładzie. Noc ciemna ogarnęła morze i statek. Daleko — daleko błyszczała latarnia morska koło portu w Tryjeście.

C. d. n.

Kącik fotograficzny.

Otrzymywanie obrazów drogą fotografji dzieli się więc na dwie części:

a) Otrzymanie negatywu za pomocą aparatu (zdjęcie)

b) sporządzenie pozytywu t. j. odbitki (kopjowanie).

Należy jeszcze odróżnić, czy promienie świetlne czynią obraz odrazu widoczny, czy też skutek jest niewidoczny i czy można go w tym wypadku „wywołać” działaniem pewnych substancji chemicznych. Ten sposób wywołania wymaga kilka tysięcy razy słabszego natężenia światła i dlatego stosuje się go do zdjęć (A), natomiast drugi do kopjowania (B).

A. Zdjęcie (fotografowanie).

Fotografowanie przedstawia się w krótkości następująco: Bierzemy aparat fotograficzny, w istocie nic innego jak poprzednio opisaną skrzynkę, i w jej przedniej ściance umieszczamy soczewkę skupiającą (objektyw), a w tyle zakładamy matówkę. Aparat powinien być tak urządzony, by odstęp między matówką a soczewką dał się zmieniać. Jeżeli aparat taki skierujemy na odległą np. wieżę i będziemy zbliżać względnie oddalać objektyw od matówki, to znajdziemy miejsce, w którem ukażą się najwyraźniej kontury wieży, mówimy wówczas obraz

jest „nastawiony na ostro". To nastawienie zmienia się z odległością przedmiotu. Jeżeli skierujemy aparat np. na ramę okienną, musimy objektyw bardziej odsunąć od matówki niż poprzednio, by otrzymać możliwie czysto zarysowany obraz. Aby więc móc z każdego przedmiotu otrzymać „ostry" obraz, kamera musi się dać wydłużać lub skracać. To jest tylko wówczas zbyteczne, jeżeli zgóry rezygnujemy z fotografowania całkiem bliskich przedmiotów.

Po nastawieniu zakładamy w miejsce matówki kliszę, uważając, by podczas tej manipulacji objektyw był zakryty. Do łatwego zakrywania lub otwierania objektywu używa się albo ręcznie zdejmowanej przykrywki albo specjalnych automatycznych zatrzasków.

Ponieważ na płytę mają działać promienie świetlne, przechodzące tylko przez soczewkę, kamera musi być szczelna, a płytę należy przechowywać w kasecie. Jest to płaskie pudełko, z jedną wysuwalną ścianą (zasówka), która szczelnie przylega do aparatu.

Po naświetleniu (sfotografowaniu) wyjmuje się płytę z kasety w zupełnie zaciemnionej ubikacji (ciemni), oświetlonej lampką z czerwonego, rubinowego szkła. Klisza będzie tak samo wyglądała, jak przed naświetleniem i dopiero po zanurzeniu w tzw. wywoływaczu obraz zacznie się ukazywać; jasne miejsca przedmiotu wychodzą czarne, a ciemne pozostają białe (w czerwonem oświetleniu ciemno-różowe. Gdy obraz będzie już dostatecznie wyraźny, wyjmuje się płytę, płucze w czystej wodzie i zanurza do t. zw. utrwalacza, w tym celu, aby uczynić płytę odporną na dalsze działanie światła. Następnie płucze się płytę w czystej wodzie i suszy.

W celu otrzymania odbitki z takiego negatywu kładzie się płytę na światłoczuły papier, w ten sposób, by emulsja płyty stykała się z emulsją papieru, i wystawia się na działanie światła słonecznego względnie elektrycznego lub gazowego. W pierwszym wypadku trzyma się papier tak długo w słońcu, aż wyjdzie dostatecznie silny obraz, następnie zanurza się go do specjalnej kąpieli, w której zostaje znieczulony.

Po tym krótkim rzucie oka na całokształt fotografji — przejdę do opisu poszczególnych środków pomocniczych i praktycznych wskazówek.

C. d. n.

DYSONANS.

Dźwięki się fortepianu rozlały
Tajnię budzące mej duszy.
Pokój utonął w akordzie mały
— Jak w oceanie.

Zadumą się dźwięki zsypały
Jak płatki róży uwiędłej
Zdziwiło ciszy bezmiar cały
— Anielskie granie.

Walczyk się smętny kołysał
Pełnią swych tonów czarowną;
Na tafli duszy mej pisał
— Sny upojenia.

Nagle — się fałszem rozdarły struny
Zapłakał głucho fortepian w piersi
Zbladły, jak w słońcu krwawiące łuny
— Dziewicze pienia...

Tadeusz Staich.

Kącik językowy.

III Lekcja angielskiego.

Grammar (gromer) = gramatyka.

W języku angielskim niema właściwie deklinacji, rzeczowniki odmieniają się przez dodanie przyimków, dla ułatwienia jednak można uważać, że istnieją cztery przypadki.

Liczba pojedyńcza.

the book (dy buk) = książka
of the book (ow dy buk) = książki
to the book (tu dy buk) = książce
the book (dy buk) = książka

Liczba mnoga

the books (dy buks) = książki
of the books (ow dy buks) = książek
to the books (tu dy buks) = książkom
the books (dy buks) = książki

Czasowniki „to have" i „to be" należą do słów posiłkowych i odmieniają się nieregularnie. Odmiana czasowników regularnych przebiega w/g wzoru:

To know (tu nou) = wiedzieć.

Czas teraźniejszy — Forma twierdząca.

I know (aj nou) = wiem
Yon know (ju nou) = wiesz
He, she, it knows (hi, szi, yt nous) = wie
We know (ui nou) = wiemy

You know (ju nou) = wiecie
They know (dej neu) = wiedzą.

Forma pytająca.

Do I know? (du aj nou) = czy ja wiem?
Do you know? (dy ju nou) = czy ty wiesz?
Does he know? (douz hi nou) = czy on wie?
Do we know? (du ui nou) = czy my wiemy?
Do you know? (du ju nou) = czy wy wiecie?
Do they know? (du dej nou) = czy oni wiedzą?

Uwagi: 1) Literę „r" nie wymawia się nigdy tak jak w jęz. polskim, brzmi więcej gardłowo, tak jakby go wymawiał ktoś, nie umiejący dobrze wymówić polskiego „r" (co się zresztą nieraz słyszy).

2) Literę „w" wymawia się w ten sposób, jak w województwie krakowskiem (a może i w kilku innych) wymawiają polską literę „ł".

Ponieważ tutejsza wymowa litery „ł" jest fałszywa, a właściwa jej wymowa przychodzi w wielu wyrazach angielskich, przeto dla oznaczenia wymowy angielskiej „w" wprowadzam znak „u" np. we (ui) = my.

Dział rozrywek.

Układanki szaradowe.

1. **Wykonawca wyroku + samogłoska + żarty.**
2. **Roślina + zaimek.**
3. **Płyn + samogłoska + spółgłoska.**
4. **(Inaczej) wciąż + kryje.**
5. **Roślina + zaimek.**
6. **Drąg + spółgłoska.**

Rozwiązania dadzą nazwy miast polskich.

SZARADA.

Pierwsza często przed domem jakimś sobie stoi
Gdy ją otworzysz wiedzie do domu podwoji.
Druga spółgłoska, trzecia „aby" w martwej mowie,
Czwarta bożek egipski. — Już po całem słowie.
Całość tc wielka rzeka, w Azji ona płynie
Najpierw biegnie przez góry, potem po nizinie
Wreszcie łączy się z inną rzeką również wielką
I wpada w wielkie morze by być w niem kropelką.

Bilety wizytowe.

Jakie są zawody tych osób?

1. **P. RYSKI - CUBA**
2. **T. O. HR. TEKLENECKI**
3. **H. TATRECKI**
4. **I. RZEPKA**
5. **R. ZAGĘSKI**
6. **ST. RZEPA**
7. **P. KARWIN**
8. **N. E. PALKA**
9. **PIOTR MOLTE**

Łamigłówki kratkowe.

1.	K	A						
2.		K	A					
3.			K	A				
4.				K	A			
5.					K	A		
6.						K	A	
7.							K	A

Puste kratki uzupełnić literami tak, by utworzyły wyrazy następującego znaczenia:

1. Słynny wichrzyciel za czasów rzymskich
2. Wyższa uczelnia
3. 10 metrów (inaczej)
4. „Kupiec" w jęz. martw. (c = k)
5. Bezpłatny praktykant biurowy
6. Drugi egzemplarz (inaczej)
7. Miejsce sławnego zwycięstwa Kościuszki

1.	T	A				
2.		T	A			
3.			T	A		
4.				T	A	
5.					T	A

1. Obicie ścian pokoju
2. Wódz kozacki
3. Zasłona
4. Monarcha turecki
5. Tkanina jedwabna przetykana złotem.

Za trafne rozwiązania z numeru poprzedniego zostali wynagrodzeni: M. Niedzielska ucz. kl. IV. gimn. żeńsk. i Matter Zbigniew kl. IVa.

Z powodu pracy przedmaturycznej Dyrektora Zarządu redaktorem naczelnym został kol. Józef Muszyński kl. VIIa. Jemu prosimy nadsyłać rękopisy.

Dyrekcja Wydawnictwa.

Drukiem Lipmana Diamanta w Chrzanowie, ul. Dobczycka 13. — Telef. 60.